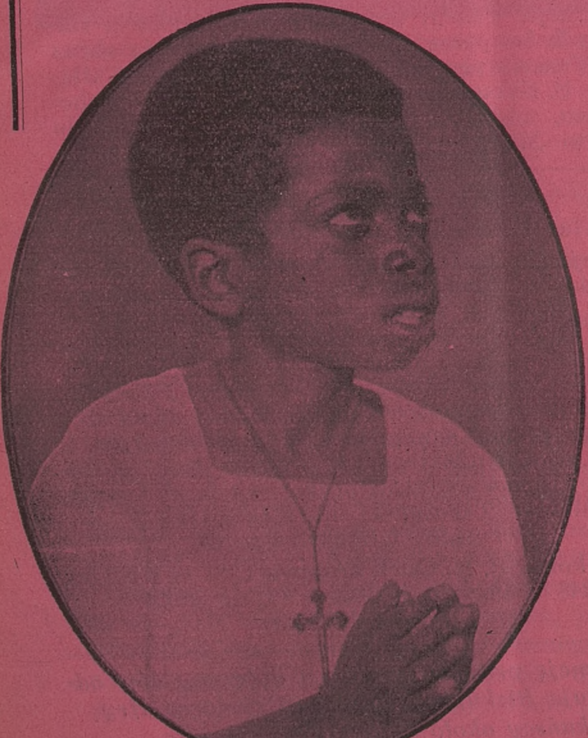
MURZYNEK

Czerwiec 1937

Rok XXV

Nr. 6



Boga nam dajcie!

MURZYNEK

katolickie, ilustrowane pisemko misyjne dla dzieci i młodzieży, wydaje w różnych językach

SODALICJA Św. PIOTRA KLAWERA

Krosno, **woj. lwowskie.**

Prenumerata roczna 1.20 zł.

Prenumeraty i ofiary

przesyłać można pod następującymi adresami:

Sodalicja Klaweriańska, Warszawa I, ul. Warecka 10, m. 4. — *Kraków,* ul. św. Marka 25. — *Poznań,* ul. św. Józefa 9, m. 5. — *Krosno* (woj. lw.) — *Wilno,* ul. Wielka 58, obok kościoła św. Kazimierza. — *Lwów,* p. K. Froniówna, ul. Edwarda Jelinka 11a. — *Częstochowa,* al. Najśw. Maryi Panny 79. — *Gniezno,* p. Anna Potulna, ul. Mieczysława 1. — — *Kielce,* p. M. Kasperska, ul. Śniadeckich 1, m. 8. *Bielsko,* ul. Piłsudskiego 7. — *Ostrów* Pozn., p. Roman Spychałowicz, ul. Starokaliska 9. — *Łowicz,* pan Marian Tarczyński, ul. Kościuszki 17. — *Wrocław,* Hirschstrasse 33.

Numer konta P. K. O.: Warszawa 1.188 — Kraków 142.248 — Poznań 200.015 — Wilno 80.954 — Krosno 411.222.

Na intencję prenumeratorów i dobroczyńców odprawiają Biskupi misyjni i Misjonarze afrykańscy około 500 mszy św. rocznie.



Czarni uczniowie w ubrankach, nadesłanych im przez dobroczyńców, otaczają obraz Serca Jezusowego.

Ulubieńcy Pana Jezusa

O. *Dominik Seri*, ze Zgrom. Synów Najśw. Serca, misja w Boro.

Dzieci są zawsze ulubieńcami Pana Jezusa, zwłaszcza dzieci afrykańskie. Uczęszczają one co dzień do komunii świętej, chyba że im coś stanie na przeszkodzie. W oczętach ich przebija czystość, twarzyczkę opromienia anielski uśmiech, wolę ich łatwo można nagiąć. Któż jednak zdoła ochronić te wątłe roślinki od zarazków życia pogańskiego, wśród którego żyją? Nikt inny z pewnością, jeno on Baranek bez zmazy, ukryty pod śnieżno - białą osłoną Eucharystii świętej. Zdaje się, że pojmują to dobrze Murzyniątka naszych szkół elementarnych, to też przybiegają do Pana Jezusa, jak wyżej powiedziałem, bardzo często. Szczególną siłę przyciągającą ma tutaj praktyka dziewięciu pierwszych piątków miesiąca. Wiele z nich po-

nawiało ją już kilkakrotnie, nieraz za cenę prawdziwej ofiary.

Ostatnio na przykład zwolniliśmy chłopców na czas wakacyjny; mogli przeto wrócić do domu. Któryż z chłopców nie tęskni za wakacjami, któryż nie pragnie całą duszą wrócić po kilku miesiącach rozłąki, do swej ukochanej rodziny? Nie wiem, czyby się znalazł wśród białych chłopców choćby jeden taki. A choćby się i znalazł w Europie, to mogę was zapewnić, że pośród mych Murzyniątek nie ma takiego ani jednego. Pod czarną ich skórą puka serduszko nadzwyczaj czułe, kochające nad wyraz matkę i marzące... wiecie o czym jeszcze? Może kto z was, największych łobuzów, odgadnie?... Ale pragnąc, żeby nie tylko łobuzy, lecz i inne dzieci o tym się dowiedziały, powiem wam to sam: oto, aby zostać „ptakiem leśnym". Ptakami leśnymi można by bez ogródek nazwać naszych malców. Ileż to razy siła przyciągająca lasu tak silnie oddziaływa na takiego urwisa, że bierze nogi za pas i zamiast iść do szkoły, umyka co sił do afrykańskiej dżungli; trzeba biec za dezerterem i przyprowadzać go nieraz przemocą, gdyż inaczej nie pokazałby się w misji przez dni kilka, a może nawet już nigdy. Cóż chcecie! Trzeba im trochę współczuć; toż to o wiele przyjemniej z lancą w ręku przedzierać się przez bory, szukać dzikich owoców lub zastawiać sidła na różnobarwne ptaki, niż być przygwożdżonym godzinami całymi do ławy szkolnej.

Chłopcy jednak, o których wam tu mówię, przynajmniej w większej części, potrafią opanowywać te swoje upodobania i kochają ser-



Typ dziecka z kraju Gallasów.

decznie szkołę. Skoro się ich jednak zwolni, rzecz prosta nie płaczą.

Tym jednak razem pięciu czy sześciu najdalej mieszkających, wolało zostać w misji przez kilka jeszcze dni, o kilka dni zatem skrócić swoje dni wolności, by móc przystąpić do komunii świętej w pierwszy piątek miesiąca.

Była to niemała ofiara z ich strony, nie prawdaż? — zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę ich naturę, przywykłą od dziecka do swobody.

Bardzo wielu innych, którzy powrócili do swych domów, przyszło na pierwszy piątek miesiąca, by przystąpić wraz z tamtymi do Stołu Pańskiego; nie zważali na to, że oddziela ich od misji do trzydziestu kilometrów drogi.

Ileż to z dzieci białych uczyniłoby tak samo, by przyjąć Pana Jezusa? Chcę wierzyć, że wiele; może jednak są i takie, które by mogły uczyć się od tych małych czarnych dzikusów?...

PIOTRUŚ

Z życia angielskiego chłopca.

(Dokończenie)

Najczęstszym gościem przy łóżku chłopca był stary misjonarz afrykański. Siadywał on godzinami przy Piotrusiu i opowiadał mu o doli i niedoli życia misyjnego. Potem grali zazwyczaj partię szachów, bo i tej gry zamierzał Piotruś kiedyś nauczyć swoich murzynków. „To by na nich z pewnością dobrze oddziałało“ — mówił. Wkrótce wyćwiczył się też doskonale i nieraz Ojca misjonarza pobił. Czasem też stawiano

blisko łóżka wannę z wodą i puszczano jego łódź motorową, aby chłopca ucieszyć i rozerwać.

Ale nie tylko o rozrywkach myślał Piotruś. Kazał sobie też podawać do łóżka mapę Afryki; wyszukiwał na niej poszczególne misje i zaśmiewał się, wspominając historie, jakie o tej lub owej słyszał. Matka często musiała mu czytać o Afryce, aby choć duchem mógł przebywać u swoich ukochanych Murzynów. Innym razem nawycinał spory zasób figur z książki i urządził niby teatrzyk marionetek. Na przedstawienie wpuszczał tylko za złożeniem ofiary pieniężnej na cele misyjne. Kiedy był jeszcze zdrowy, ślicznie grał na skrzypcach. Ulubionym jego utworem było „Largo" Händla. Teraz w chorobie też czasem prosił o podanie mu ukochanych skrzypiec. W ten sposób odganiał Piotruś ból i nudę. Ile go to musiało kosztować, że nie może zajrzeć do swej „pieczary" ani z kolegami bawić się w Indian! Mimo to nigdy nie słyszano żadnej skargi, żadnego narzekania ani litowania się nad sobą.

Miał tylko jedno wielkie życzenie, które wypowiedział: oto pragnął być na mszy św. w pierwsze święto Wielkiejnocy. Zdawało się, że nie da się to urzeczywistnić, ale Piotruś modlił się i ufał. Do Palmowej Niedzieli wciąż jeszcze był przykuty do łóżka. Przyniesiono mu wiązkę poświęconych palm, z których z pomysłowością miłującego serca zrobił sobie krzyż, włócznię, młot i gwoździe.

Jakże miał Boski Przyjaciel dziatek oprzeć się prośbie tak sobie oddanego miłośnika? W Wielki Piątek można było zawieźć Piotrusia w fotelu na kółkach do kościoła, gdzie ku zdu-

mieniu wszystkich obecnych odprawił „Drogę Krzyżową“. A w Wielkanoc, gdy ozwały się dzwony na Alleluja, mały nasz bohater pojechał podziękować zmartwychwstałemu Zbawicielowi za tę wielką łaskę. Odtąd przez następnych kilka tygodni wstawał i siadywał na swoim wózku, a gdy miał bardzo dobry dzień, zabierali go znajomi na przejażdżkę samochodem. Co to była za uciecha!

Ale Boże Ciało przyniosło wielkie rozczarowanie. Nie można go było zawieźć do pobliskiego klasztoru na procesję. Zniósł to ze spokojem. Aby go pocieszyć i ten zawód mu wynagrodzić, podano mu kosz pełen róż, które swymi biednymi bolącymi paluszkami poobrywał. Miały te wonne płatki różane być rzucane podczas procesji Jezusowi Eucharystycznemu pod stopy i zastąpić niejako tym hołdem nieobecnego Piotrusia.

W następną niedzielę chłopiec błagał usilnie, aby go zawieziono do kościoła i po nabożeństwie zapisano do Bractwa Najśw. Sakramentu. Spełniono prośbę dziecka. Była to ostatnia jego bytność w kościele. Choroba wróciła i zapędziła biedaka z powrotem do łóżka, z którego już nie miał powstać. Dziesiąte urodziny obchodził w łóżku. Bóg zażądał od niego nowej ofiary. Podczas owych tygodni, kiedy to czuł się zdrowszy, Piotruś zaczął na nowo brać lekcje malarstwa. Ale teraz wodna puchlina wytrąciła mu pędzel z ręki. Pokazał matce zaczęty obrazek i rzekł: „To wszystko, co mogłem zrobić, mamusiu. Nie mogę już malować...“ Nowy to był krzyż, przyjęty znowu bez skargi, bez utyski-

wań... „To wszystko“. W tych prostych słowach złożył Bogu z poddaniem i tę ofiarę...

W początkach września przyjął ponownie ostatnie Sakramenta święte. Ojca Rektora nie było, więc Ojciec misjonarz go zastąpił. W trakcie ceremonii Piotruś zauważył, że rytuał księdza jest bardzo zniszczony. Zaraz też poprosił matkę, aby dobremu Ojcu kupiła przecież nową książkę, ale pięknie oprawną w skórę i ze złoceniami. Książka ta nadeszła właśnie w dzień śmierci Piotrusia i została użyta po raz pierwszy na jego pogrzebie.

W środę 13 września chłopiec zaniewidział. Prosił, aby matka odmówiła wieczorne modlitwy, bo on już sam nie może. Matka chciała spełnić to życzenie dziecka, ale wkrótce boleść zmogła ją i Ojciec musiał dokończyć. „Dlaczego mamusia płacze?“, dopytywał się troskliwie chory. Gdy mu powiedziano, że matka nie płacze, tylko jest bardzo zmęczona, jakoby uspokoił się — ale prosił, aby mama spała obok w pokoju, nie przy nim, żeby mogła odpocząć. Tej poczciwej prośby matka nie usłuchała. Została przy nim, jak zawsze. Może w godzinę później zjawiły się pierwsze objawy końca. W przerwach między poszczególnymi atakami dziecko okazywało spokój i cierpliwość, graniczące z heroizmem.

Następnego dnia przeprosił umierający chłopczyna rodziców za wszystkie przykrości, jakie im wyrządził i za ten „*extra ambaras*“, jaki sprawiła jego choroba.

„Mamusiu kochana, mamusia nie wie, jakie mam okropne bóle, ale — tłumaczył — Zbawiciel jeszcze gorsze wycierpiał, a wszyscy Go

tak poniewierali, — a dla mnie wszyscy są tacy dobrzy i tak mnie pielęgnują!“

Nastąpiła jeszcze jedna długa noc — spokojniejsza niż ubiegła, ale pełna strasznych cierpień. Ojciec Rektor przyszedł jeszcze raz, ale Piotruś nie poznał go. Później przytomność wróciła znowu.

„Tatusiu — poprosił, niech mi Tatuś co przeczyta, żebym nie myślał wciąż o moich bólach.“ Ojciec sięgnął po książkę o Indjanach, która już nieraz dobrze takie zadanie spełniła. Ale zdawało się po chwili, że chłopiec traci znów przytomność, więc ojciec odłożył książkę. Zaraz jednak odezwał się słabiutki głosik: „To ładne — niech Tatuś czyta dalej.“

Niebawem jednak martwiejące usteczka dziecka wyszeptały ostatnie słowa: *„Teraz idę... do Afryki... i mamusia.. idzie... ze... mną!“*

Zawarły się śliczne niebieskie oczy. Piotruś zasnął spokojnym, głębokim snem dziecka. W godzinę potem — nie poruszywszy się ani razu, nie wydawszy najlżejszego westchnienia, złożył mały Piotruś młode swoje życie w ofierze Bogu, którego tak bardzo, bardzo miłował.

Z życia szkolnego w Randfontein

Przez Siostrę *Simonę*, urszulankę.

Nasza misja jest bardzo biedna. Tymczasowo kościółek musi służyć za szkołę. Nie mamy ławek szkolnych, tylko niskie klęczniki, na których dzieci kaferskie siadają. Nie mamy także żadnych pomocy naukowych, ani sprzętów szkolnych. Wszystko musimy uzmysławiać na szkolnej, ściennej tablicy, lecz niestety, jest ona trochę mała. Siostra przechodzi dziennie 18 km z Krugersdorp do Randfontein. Już o godz. 1/28 opuszcza ona klasztor i przed 6 nie wraca do domu. Po godzinach nauki szkolnej odwiedzą Murzynów w ich chatach, rozdaje katechizmy, i spełnia wszystkie uczynki miłosierdzia, jakie tylko okazja nadarzy. Jej praca daje jej także wiele radości. Szkołę otworzyliśmy zeszłego roku z 26 dziećmi. Teraz jest ich 124 i prawie codziennie przychodzą nowe. Dzieci kaferskie są wesołe, żywe i rozfiglowane. Daleko im do cywilizacji, a nauki otrzymały jeszcze mniej. Opowiem wam coś o nich.

Zeszłego roku, gdy się zbliżało święto Zwiastowania, opowiadała im Siostra, jak archanioł Gabriel został posłany do Najświętszej Maryi Panny. Przypadkowo była także w szkole Siostra Gabriela. Na nastepnej lekcji historii św. pyta Siostra: „Wiecie już teraz, kto był posłany do Najśw. Maryi Panny.“ Jak z jednych ust padła odpowiedź: „Siostra Gabriela!“

Jednego razu musieli się nauczyć wiersza na pamięć. Siostra im powiedziała: „Róbcie wszystko tak, jak ja. Uważajcie dobrze.“ Przez chwilę wszystko szło doskonale. Lecz niespo-

dziewanie musiała Siostra kichnąć. W środku wiersza kichnęły wszystkie dzieci. Siostra oczy-



S. Symona, urszulanka, z czarnym wychowankiem, misja Krugersdorp.

wiście się roześmiała, dzieci uczyniły to samo. Siostra jeszcze więcej musiała się śmiać, dzieci wtórowały jej jeszcze głośniej. Więc dała znak,

że już koniec lekcji, jedyny środek, by przywrócić spokój.

Z wielkim trudem zgromadziła Siostra tabliczki łupkowe dla małych. Jedno z dzieci zabrało raz do szkoły swego małego braciszka. Mały patrzał pożądliwie na rysik i tabliczkę, ale oczywiście dla małego berbecia nie zostało nic. Więc zsunął się na podłogę. Wyśledził jednak jednego chłopca, który nie bardzo uważał. Skoro ten się odwrócił, chwycił mały spryciarz tabliczkę i rysik i zniknął za wysoką skrzynią. Nieuważny chłopiec prędko spostrzegł brak tabliczki. Ale nie można jej było nigdzie znaleźć, a mały złodziej zniknął jak pod ziemię. Wreszcie podczas przerwy odkryła go Siostra. Siędział cicho za skrzynią i gryzmolił na tabliczce najróżniejsze figurki.

Nasze dzieci jak na swój wiek są trochę opóźnione, a to dlatego że w domu mówią językiem zuluskim, swazi lub sechuana, a w naszej szkole nauka odbywa się w języku angielskim. Dlatego ci początkujący zostali powierzeni czarnej katolickiej nauczycielce, która dzieci uczy w ich ojczystym języku i powoli oswaja je z językiem angielskim. Tę klasę nazywamy wstępną — właściwych klas mamy tymczasowo pięć.

Dzieci kaferskie chodzą bardzo chętnie do szkoły. Niektóre muszą przebywać 20 km (a więc więcej niż cztery godziny), nie obawiają się jednak tej drogi o bardzo wczesnej porze i naczczo. A gdybyście zajrzeć mogli do ich żołądków, z czego one żyją, bylibyście jeszcze więcej zdumieni. Dzieci nasze są przeważnie bar-

dzo biedne i zaledwie wyżyć mogą z tego, co otrzymują z domu. Są tu takie, które od południa do następnego rana zupełnie nic do jedzenia nie dostają. Siostra pomaga tym biedakom, jak może.



Jakże smakuje głodnym Murzyniątkom chleb kukurydziany!

Najmilszymi lekcjami dla naszych Murzynków są śpiew i gimnastyka, bardzo lubią też rysunki i roboty ręczne. Są bardzo muzykalni i mają piękne, czyste głosy. Gdy uczymy się nowej piosenki, układają sami drugi głos do niej.

Nadzwyczajnie lubią historię biblijną. Tej lekcji nie chce nikt opuścić. W dniu tym nikt się nie spoźnia. Wszyscy są uważni i nie mogą się dosyć nasłuchać o Panu Jezusie i Jego Matce ukochanej. Niedawno, gdy pokazywano im Pana Jezusa ubiczowanego, jeden z największych chłopców rozpłakał się. Mają bardzo dobre serca. Nie kłócą się między sobą i mają wszystko wspólne. Kochają się wzajemnie i pożyczają sobie rysiki i ołówki. W jakieś święta obdarzyliśmy ich owocami. Jakaż z tego radość była! Chociaż bardzo lubią owoce, niektóre z nich ofiarowały swoje piękne śliwki innym, co mniej ładne otrzymały.

Na dzisiaj dosyć, innym razem opowiem wam więcej.

Nieoczekiwane odkrycie

O. *Devalle*, misjonarz della Consolata, Nyeri.

Jedną z zewnętrznych oznak, jakimi się odróżniają chrześcijanie naszych misji od ludności pogańskiej, są dewocjonalia, jak medaliki, krzyże i różańce.

Nic też dziwnego, że się widzi nieraz dorosłych Murzynów, wracających z pola z wiązką drewek na plecach i z krzyżem, zawieszonym na piersiach; lub też niewiasty murzyńskie, przesuwające się wśród natłoku jarmarku z różańcem, niby jakim naszyjnikiem drogocennym; to znowu młodzieńców i dzieci z błyszczącymi medalikami na szyi a nieraz i na ręku, na wzór bransoletki.

Ale przejdźmy teraz do mego właściwego opowiadania:

Od pewnego czasu nikt z wioski nie ośmielał się iść po wodę do rzeki, a to z powodu krokodyla, który się w niej zagnieździł.

Pewien Murzyn, przechodzący przez rzekę, został pochwycony przez krokodyla za nogę; na szczęście miał przy sobie lancę, za pomocą której oswobodził nogę z paszczęki potwora; musiano mu ją jednak w szpitalu amputować. Kobieta pewna, która nabierała wodę, została wciągnięta przez krokodyla do rzeki i dopiero nadbiegli Murzyni zdołali z trudem oswobodzić nieszczęśliwą. Innym znów razem dziecko przepadło w wodzie bez śladu.

Należało powziąć i to jak najprędzej środki zapobiegawcze, z których najpewniejszym jest kula ołowiana, jeśli się umie z nią dobrze obchodzić. Misjonarz podjął się tego zadania.

Nie było to jednak łatwym: wodny rabuś bowiem, jak gdyby przeczuwał nasze zamiary, nie ukazywał się za dnia, unikał wprost światła dziennego. A więc Ojciec zarządził straż nocną. Raz przecież trzeba z tym skończyć. Wytrwałość misjonarza została wreszcie uwieńczona dobrym wynikiem.

Ażeby przyciągnąć bliżej mordercę, potrzebna była jakaś przynęta. Za tę przynętę posłużył pies. Uwiązany w tym celu do drzewa nad samym brzegiem rzeki, począł rzucać się wściekle, pragnąc się urwać. Ojciec z Henrykiem, swym służącym i nieodłącznym towarzyszem wypraw myśliwskich, z fuzją gotową i oczami utkwionymi w psa, stał ukryty za grubym pniem pobliskiego drzewa.

Nie czekał długo. Nagle dwa fosforyczne światła ukazały się nad powierzchnią wody i po-

cichu kierowały się ku miejscu, gdzie stał pies, szczekający rozpaczliwie.

Światła zbliżały się coraz bardziej do brzegu. Wreszcie olbrzymie cielsko krokodyla wyłoniło się z wody, rzucając się na psa. W tej samej chwili padł strzał... Światełka oczu krokodyla zgasły natychmiast. Bestia leżała rozciągnięta na wybrzeżu jakby jaki czarny cień na białym piasku...

Henryk, z okrzykiem triumfu rzucił się na zdobycz, by ją swym nożem myśliwskim rozpłatać. Przy świetle mojej lampki polowej począł z gorliwością poszukiwacza złota wyjmować z niej wnętrzności. Nagle przerwał pracę, zbliżył rękę do słabego światła lampki, by się czemuś lepiej przyjrzeć i okrzyk, pełen bólu, wyrwał się z jego piersi, rozlegając się potężnym echem wśród ciszy nocnej: „Maito! maito! (mamo! mamo!)".

Cóż się stało?... Chłopiec ściskał konwulsyjnie w ręku prostą miedzianą bransoletkę, jaką noszą kobiety murzyńskie, i medalik. Nie było wątpliwości, misjonarz, przyjrzawszy się medalikowi dokładnie, poznał, że choć był bardzo zniszczony i zniekształcony, był to jednak prawdziwy medalik z wizerunkiem Matki Bożej Pocieszenia.

W przedmiotach tych rozpoznał Henryk medalik i bransoletkę, które nosiła jego matka. Dwa lata już minęły, odkąd ją stracił, nikt nie wiedział w jaki sposób. Ot poszła do rzeki po wodę i nie powróciła więcej. Mówiono o hienie, o lamparcie... Teraz czerwone światło lampki odkryło okropną tajemnicę...

I wśród tej nocy uroczystej, przy odblasku niezliczonych gwiazd, niby przy lampkach grobowych, wpośród szmeru fal rzecznych, rzekłbyś muzyki pogrzebowej, wzruszony misjonarz, ze skamieniałym z bólu chłopcem, uklękli u krwawego grobu, odmawiając za duszę zmarłej *„De Profundis...“* (Z głębokości...)

Zagadka

1) Co jest w zimie gorące, a w lecie zimne?
2) Choć niewidzialne, obecne wszędzie,
Komu go zbraknie, ten życia zbędzie.
3) Mnie nikt nie widzi, za to każdy słyszy,
a wierną moją towarzyszkę każdy widzi,
a nikt jej nie słyszy.

Zagadka

4) W miejsce kropek wstawić litery. Wyrazy utworzone dadzą polskie przysłowie:

. . . d . . . d . . . . . e . . . . a . . . . . . e

ROZWIĄZANIA z Nr. 5:

Krowa, co dużo ryczy, mało mleka daje.

ODPUST ZUPEŁNY,

którego pod zwykłymi warunkami dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicji św. Piotra Klawera, a więc i członkowie „Ligi dzieci dla Afryki“:
11 czerwca w dzień św. Barnaby Apostoła.
29 czerwca w dzień śś. Apostołów Piotra i Pawła.

Redaktor odpowiedzialny Maria Kopińska, Kraków.
Nakładem i drukiem Sodalicji św. Piotra Klawera w Krośnie,

Ofiary nadesłane (w zł.)

Koło Ministrantów przy par. N. M. P. 30.-; Dzieci Szkoły Powszechnej w Karczewie na chrzest murzynka 10.-; Marysia Mazurkiewiczówna w intencji dobrych postępów w nauce 2.-; Basia Wiśniewska 6.-; Uczniowie Szkoły Powszechnej nr. 70 9.-; Juruś Bogacz 5.-; 30 gr. na murzynków z podziękowanie św. Antoniemu od Krysi R.

Szkoła Powszechna Nr. 26 paczki ze staniolem, kajety, książki oraz zł. 1.05 jako ofiara składkowa na misje.

List do Murzynka.

Kochany nasz Murzynku!

Pierwszy to nasz liścik do Ciebie. Chcemy w nim podać Ci naszą pracę dla misji, abyś dowiedział się, że tu dzieci nadgoplańskie bardzo interesują się życiem Murzynków.

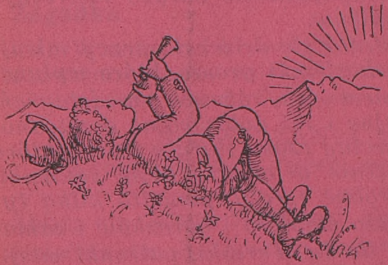
Od roku 1930 zabrały się dzieci do pracy misyjnej, składając do skarbonki grosze, które wpłynęły ze składek miesięcznych, różnych przedstawień, za broszurki misyjne i też dobrowolne oszczędności. Przez cały przeciąg czasu złożyły dzieci, które mogły, bardzo chętnie w ofierze białe sukienki, koszulki i inne drobne rzeczy, ponadto kilka tysięcy znaczków, dużo staniolu i obrazków i zamawiały msze święte do św. Tereski, patronki misji. Oprócz wysyłek pieniędzy przez ręce Ks. Proboszcza i ofiarowanych rzeczy na potrzeby misji, wysłały dzieci w roku 1931 zł. 30.- na chrzest chłopca Murzynka w Afryce, który otrzymał imię „Bernard". W roku 1934 wysłały zł. 40.- na wykup dziewczynki Murzynki w Afryce, która na chrzcie św. otrzymała imię „Mieczysława - Jadwiga". W roku 1933 wysłały zł. 15.- na misje. Abonują pisemka misyjne. Rozdają broszurki misyjne za dobrowolne grosze. Wyhaftowały własnoręcznie sukienki i chusteczki dla Murzyniątek. Wysłały zeszłego lata 30 koralikowych naszyjników, które same zrobiły, do zakładu miysjnego, w którym jest nasza Mieczysława.

Dzieci brackie bardzo chętnie przybywają na ze-

brania, tęsknią za nimi, rozumieją cel swojej pracy, interesują się życiem Murzynów, wygłaszają czytanki misyjne. Z pomiędzy różnych pisemek misyjnych jest dzieciom najmilsze pisemko Murzynek. W roku 1936 wybrały dzieci spośród siebie sekretarkę, która pisze i czyta sprawozdania naszych zebrań. To, cośmy dotychczas zdziałali dla misji zawdzięczamy na pierwszym miejscu Czcig. Księdzu Proboszczowi i zacnym Dobroczyńcom, bo ile razy zwróciliśmy się do nich o pomoc, zawsze ją otrzymaliśmy.

Serdecznie dziękujemy wszystkim ofiarodawcom i prosimy o dalszą pomoc w pracy naszej nad pogańskimi dziećmi.

Helena Urbaniakówna.
O. n/Gopłem.



Kilka ważnych pytań na czas wakacji.

1) Jak dotąd spędziłem wakacje?
2) Jaką korzyść z nich odniosłem?
3) Czym nie zapomniał o Misjach?
4) Czym co dla nich uczynił (urządził jakie przedstawienie na rzecz misji, lub coś w rodzaju koncertu, zbierał pilnie znaczki pocztowe, by je przesłać następnie Sodalicji Klawieriańskiej)?
5) Czy czytam pilnie „*Murzynka*“?
6) Czym zyskał mu choć jednego nowego prenumeratora wśród mych towarzyszy wakacyjnych?

NAGRODY za zyskanie nowych prenumeratorów wymienimy w następnym numerze.